



G.K. Chesterton

WIEKUISTY
CZŁO
WIEK



FRONDA



WIEKUISTY
CZŁO
WIEK

G.K. Chesterton

WIEKUISTY
CZŁO
WIEK

przełożyła
MAGDA SOBOLEWSKA

WARSZAWA - ZABKI
2004

Tłumaczenie:
MAGDA SOBOLEWSKA
© by Magda Sobolewska

Redakcja:
GRAZYNA MICHALAK

Projekt okładki i opracowanie typograficzne:
JAN ZIELIŃSKI

Łamanie:
IWONA ZIELIŃSKA

ISBN 83-921200-2-7
ISBN 83-7031-428-7

Wydawcy:
FRONDA PL SP. Z O. O. APOSTOLICUM
ul. Olbrachta 94 ul. Wilcza 8
01-102 Warszawa 05-091 Ząbki
fronda@fronda.pl info@apostolicum.pl
www.fronda.pl www.apostolicum.pl

Druk:
Drukarnia Wydawnictwa APOSTOLICUM
tel. (022) 771 52 00

WYDANIE I

NOTA WPROWADZAJĄCA

Niniejsza książka wymaga wstępu, który pomoże uniknąć nieporozumień co do jej zawartości. Zaproponowana w niej perspektywa jest raczej historyczna niż teologiczna i nie dotyczy bezpośrednio religijnej przemiany, która była głównym wydarzeniem mojego życia, a o której zacząłem właśnie pisać bardziej kontrowersyjne dzieło. Żaden katolik, taką mam przynajmniej nadzieję, nie mógłby napisać książki na żaden, a zwłaszcza na ten temat, nie ujawniając, że jest katolikiem; w niniejszym opracowaniu różnice między katolikami a protestantami nie są jednak sprawą najważniejszą. Duża część tej książki traktuje raczej o rozmaitych poganach niż o rozmaitych wyznawcach chrześcijaństwa, a jej teza głosi, że ci, którzy traktują Chrystusa na równi z podobnymi do Niego mitami, a Jego religię na równi z podobnymi do niej religiami, powtarzają jedynie bardzo przestarzałą formułkę, której przeczy bardzo zaskakujący fakt. Stwierdzenie tego faktu nie wymagało ode mnie wychodzenia poza sprawy znane nam wszystkim; nie pretenduję do miana uczonego i w niektórych dziedzinach jestem

zmuszony, jak to obecnie jest w modzie, polegać na tych, którzy są bardziej uczeni ode mnie. Ponieważ nieraz nie zgadzałem się z poglądami pana H.G. Wellsa na temat historii, tym bardziej powinienem w tym miejscu pogratulować mu odwagi i konstruktywnej wyobraźni, dzięki której ukończył swoje rozległe, różnorodne i niezwykle zajmujące dzieło*, a nade wszystko powinszować tego, że dowiódł słusznego prawa amatora do swobodnego korzystania z faktów udostępnianych mu przez specjalistów.



* Chodzi o dwutomową historię powszechną H.G. Wellsa *Outline of History* napisaną z ewolucjonistycznego punktu widzenia.

Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza.

WSTĘP
PLAN KSIĄŻKI

Istnieją dwa sposoby, by dostać się do domu: pierwszy to wcale z niego nie wychodzić; drugi to obejść dookoła cały świat, aż wróci się do punktu wyjścia – taką podróż próbowałem opisać kiedyś w pewnej opowieści. Z ulgą jednak zmienię temat i zajmę się inną opowieścią, której nigdy nie udało mi się napisać. Jak każda nie napisana przeze mnie książka, jest bezapelacyjnie najlepsza z tych, jakie napisałem. A ponieważ jest więcej niż pewne, że nigdy jej nie napiszę, posłużę się nią jako symbolem; stanowi ona bowiem symbol tej samej prawdy. Opowieść tę wyobrażam sobie jako romantyczną historię z rozległych falujących dolin, takich jak te, gdzie na zboczach wzgórz nakreślono w starożytności białe konie Wessexu¹. Jej bohaterem miałby być chłopiec, którego gospodarstwo czy domostwo stało na takim właśnie zboczu i który wyruszył w świat na poszukiwanie czegoś w rodzaju podobizny albo

¹ Duże, widoczne z daleka sylwetki koni wycinane w zboczach wzgórz – najstarsze pochodzą z epoki brązu; biały kolor nadają im wapienne skały podłoża.

grobowca jakiegoś olbrzyma. A gdy był już wystarczająco daleko od domu, obejrzał się i zobaczył, że jego gospodarstwo i ogródek warzywny, błyszczące płasko na zboczu wzgórza jak barwy i pola na tarczy herbowej, są częścią takiej właśnie sylwetki olbrzyma, na której mieszkał od zawsze, ale która była za duża i znajdowała się zbyt blisko, by mógł ją zobaczyć. Taki, jak sądzę, jest dziś prawdziwy obraz postępu każdej rzeczywiście niezależnej inteligencji, i to właśnie jest sednem tej książki.

Sednem tej książki, innymi słowy, jest to, że jeśli nie jest się naprawdę wewnątrz chrześcijaństwa, najlepszą rzeczą jest być naprawdę poza nim. A mówiąc ściślej, że popularni krytycy chrześcijaństwa nie są naprawdę poza nim, ale stoją na gruncie pod każdym względem spornym. Ich wątpliwości są mocno wątpliwe, a krytyczne uwagi przyjęły dziwny ton, jakim posługują się przeszkadzający prelegentowi ignoranci. Najnowsze antyklerykalne frazesy są dla nich tematem towarzyskich pogaduszek. Narzekają, że księża ubierają się jak księża, zupełnie jakbyśmy mieli zyskać większą swobodę, gdyby wszyscy policjanci śledzący nas lub zakuwający w kajdanki byli detektywami w cywilu. Skarżą się, że kazania nie można przerywać i nazywają ambonę twierdzą tchórza, chociaż nie nazywają twierdzą tchórza redakcji dziennika. Oskarżenie to jest niesprawiedliwe zarówno wobec dziennikarza, jak i wobec księży, ale wobec dziennikarza jest przynajmniej o wiele bliższe prawdy. Duchowny przemawia osobiście i łatwo mu dokopać, gdy będzie wychodził z kościoła; dziennikarz, aby uniknąć kopniaków, ukrywa nawet swoje

nazwisko. Owi krytycy piszą do prasy szalone, bezsensowne artykuły i listy o tym, dlaczego kościoły świecą pustkami, chociaż ich nie odwiedzają, aby się przekonać, czy rzeczywiście tak jest albo których kościołów to dotyczy. Ich propozycje są jeszcze nudniejsze i bardziej nijakie niż beznadziejny wikary z farsowej trzyaktówki i sprawiają, że mamy ochotę pocieszyć go tak, jak pocieszano wikarego z *Bab Ballads*²: „Rozumu więcej masz, niż ma go Hopley Porter”. Możemy z pełnym przekonaniem zapewnić najmarniejszego z duchownych: „Rozumu więcej masz, niż ma go Oburzony albo Zwykły Obywatel, albo Szary Człowiek czy którykolwiek z twoich gazetowych krytyków; żaden z nich bowiem nie ma bladego pojęcia o tym, czego sam chce, nie mówiąc już o tym, czego oczekuje od ciebie”. Nagle zmieniają front i potępiają Kościół za to, że nie zapobiegł wojnie³, chociaż wcale nie chcieli, żeby ktoś to uczynił, i chociaż nikt nigdy nie twierdził, że byłby jej w stanie zapobiec, z wyjątkiem kilku postępowych, kosmopolitycznych sceptyków z tej samej szkoły naczelnych wrogów Kościoła. To antyklerykalny i agnostyczny świat przepowiadał zawsze nadejście powszechnego pokoju i to ten właśnie świat powinien być zawstydzony i zdruzgotany wybuchem powszechnej wojny. A co do ogólnego twierdzenia, że wojna skompromitowała Kościół – można

² Wiersze Williama S. Gilberta, publikowane w piśmie „Fun” w drugiej poł. XIX w., a potem w formie książkowej; satyryczne ballady z elementami absurdałnego humoru i purnonsensu.

³ Chodzi o I wojnę światową.

by równie dobrze powiedzieć, że potop skompromitował arkę Noego. Jeśli świat błądzi, jest to raczej dowód, że Kościół się nie myli. Jest on usprawiedliwiony – nie dlatego, że jego dzieci nie są grzesznikami, ale właśnie dlatego, że nimi są. W ten sam sposób krytycy Kościoła odnoszą się do całej tradycji religijnej; są oni owładnięci potrzebą reagowania przeciwko niej. Dopóki chłopiec mieszka w gospodarstwie ojca, wszystko jest w porządku; i znów będzie wszystko w porządku, gdy oddali się na tyle, by obejrzyć się i zobaczyć je w całości. Oni jednak wprawili się w jakiś pośredni stan, zabłądzili w dolinie, z której nie widzą ani wzgórz przed sobą, ani za sobą. Nie mogą wyjść z cienia chrześcijańskiej kontrowersji. Nie mogą być chrześcijanami i nie potrafią przestać być przeciwnikami chrześcijaństwa. Przepętnia ich nastrój właściwy dla reakcjonistów: dąsy, przekora i zrzędlive krytykanctwo. Ciągłe jeszcze mieszkają w cieniu wiary, choć utracili jej światło.

Otóż najlepsza relacja łączy nas z naszym duchowym domem wówczas, gdy jesteśmy dość blisko, by darzyć go miłością. Ale drugą dobrą relacją jest być na tyle daleko, by nie darzyć go nienawiścią. Książka ta opiera się na twierdzeniu, że choć najlepszym sędzią chrześcijaństwa jest chrześcijanin, drugim dobrym sędzią może być ktoś w rodzaju konfucjanisty. Natomiast najgorszym sędzią jest człowiek, który dziś najchętniej zabiera się do sądzenia – niedouczony chrześcijanin zmieniający się stopniowo w gniewnego agnostyka; wpłątany w koniec sporu, którego początku nigdy nie rozumiał; porażony czymś

w rodzaju dziedzicznego znudzenia, choć sam nie wie, czym się znudził; zawczasu zmęczony słuchaniem czegoś, czego nigdy nie słyszał. Człowiek ten nie sądzi chrześcijaństwa ze spokojem, jak zrobiłby to konfucjanista; nie sądzi go również tak, jak sam osądziłby konfucjanizm. Nie umie wysiłkiem wyobraźni przenieść Kościoła katolickiego o tysiące mil, pod obce niebiosa poranka, i ocenić go równie bezstronnie, jak oceniliby chińską pagodę. Podobno wielki św. Franciszek Ksawery, któremu niemal udało się wznieść Kościół jako wieżę górującą nad wszystkimi pagodami, odniósł porażkę po części dlatego, że jego następcy byli oskarżani przez braci misjonarzy o przedstawianie Dwunastu Apostołów w szatach i z atrybutami Chińczyków. Lepiej byłoby jednak widzieć w Apostołach Chińczyków i sądzić ich sprawiedliwie jako Chińczyków, niż widzieć w nich jedynie nieme idole zasługujące na rozbicie przez ikonoklastów, czy raczej odpustowe tarcze, do których cwaniacy celują z nie-nabitych wiatrówek. Lepiej byłoby zapatrywać się na całą rzecz jak na jakiś odległy azjatycki kult; widzieć w mitrach biskupów wysokie nakrycia głowy tajemniczych bonzów, w pastorałach – węzowe laski noszone w jakiejś azjatyckiej procesji, modlitewnik uznać za równie niezwykły jak młynek modlitewny, a Krzyż – za skrzywiony na równi ze swastyką⁴. Wtedy przynajmniej nie tracilibyśmy panowania nad sobą jak niektórzy sceptyczni

⁴ W 1925 r., kiedy Chesterton pisał te słowa, swastyka nie miała jeszcze tak jednoznacznej konotacji.

krytycy, którzy nierzadko tracą także rozum. Antyklerykalizm stał się dla nich atmosferą – atmosferą negacji i wrogości, z której nie mogą się wyzwolić. W porównaniu z ich postawą lepsze byłoby potraktowanie całej rzeczy jako pochodzącej z innego kontynentu albo z innej planety. Bardziej godne filozofa byłoby obojętne przyglądanie się bonzom niż nieustanne i bezcelowe czepianie się biskupów. Lepiej byłoby przejść obok kościoła tak, jakby to była pagoda, niż nieporuszenie tkwić w kruchcie, nie mając siły ani na to, by wejść do środka i pomóc, ani na to, by wyjść i zapomnieć. Tym, dla których reakcja stała się obsesją, polecałbym na serio wysilenie wyobraźni i przedstawienie sobie Dwunastu Apostołów jako Chińczyków. Innymi słowy, radzę im, by spróbowali oddać taką sprawiedliwość chrześcijańskim świętym, jakby byli to pogańscy mędrzy.

Tu jednak dochodzimy do ostatniego bardzo istotnego punktu, który będę się starał udowodnić na stronach tej książki, a mianowicie, że gdy faktycznie wysilimy wyobraźnię, by zobaczyć całą rzecz od zewnątrz, odkrywamy, że wygląda ona naprawdę tak, jak tradycja zawsze opisywała ją od wewnątrz. Tylko z oddali chłopiec może dostrzec olbrzyma i przekonać się, że to naprawdę olbrzym. Tylko wtedy, gdy ujrzymy Kościół chrześcijański pod czystym płaskim niebem Wschodu, możemy się przekonać, że jest to rzeczywiście Kościół Chrystusowy. Krótko mówiąc, tylko gdy jesteśmy bezstronni, możemy pojąć, dlaczego ludzie są stronnikami Kościoła. To drugie twierdzenie wymaga jednak poważniejszego omówienia, i teraz właśnie zamierzam je omówić.

Kiedy tylko ujrzałem w jasnym świetle tę dziwną stałość cechującą jedyną i wyjątkową historię Boga, uderzyło mnie, że dokładnie taki sam dziwny, a przy tym stały charakter miała poprzedzająca ją historia człowieka; bo i ona także wywodziła się od Boga. Chodzi mi o to, że tak jak Kościół wygląda osobliwiej w porównaniu ze zwykłym życiem religijnym ludzkości, ludzkość wygląda osobliwiej w porównaniu ze zwykłym życiem natury. Zauważyłem, że większość współcześnie pisanej historii przeradza się w swoistą sofistykę, dążąc najpierw do zatarcia ostrej granicy między zwierzęciem a człowiekiem, a potem do zatarcia ostrej granicy między pogaństwem a chrześcijaństwem. Im więcej jednak czyta się o tych dwóch granicach w duchu prawdziwego realizmu, tym ostrzej się je dostrzega. Krytycy nie są wystarczająco zdystansowani, by zauważyć ów dystans; nie widzą rzeczy w pełnym świetle i przez to trudno im odróżnić czarne od białego. Owa szczególna atmosfera reakcji i buntu, w jakiej żyją, każe im utrzymywać, że biel jest w rzeczywistości brudnoszara, a czerń nie jest tak czarna, jak się ją maluje. Nie twierdzą, że za ich buntem nie przemawiają żadne ludzkie racje; nie twierdzą, że nie wzbudza on pod pewnymi względami sympatii; twierdzą jedynie, że nie ma on nic wspólnego z nauką. Ikonoklasta może być oburzony; ikonoklasta może być oburzony słusznie; ale ikonoklasta nie może być bezstronny. A udawanie, że przytłaczająca większość poważnych krytyków, uczonych ewolucjonistów i profesorów religioznawstwa jest choć trochę bezstronna, to czysta hipokryzja. Dlaczego bowiem mieliby być

bezstronni, i co właściwie znaczy bezstronność, jeśli cały świat toczy wojnę o to, czy ta jedna rzecz jest chorobliwym przesądem, czy źródłem nadprzyrodzonej nadziei? Ja sam nie uważam się za bezstronnego o tyle, że ostateczny akt wiary ogranicza umysł człowieka, dając mu zaspokojenie. Śmiem jednak uważać się za bardziej bezstronnego od nich, bo potrafię opowiedzieć tę historię uczciwie, wysilając wyobraźnię i oddając sprawiedliwość każdej ze stron. Oni tego nie potrafią. Uważam się za bezstronnego o tyle, że wstydzilibym się wygłaszać o tybetańskim lamie takie brednie, jakie oni wygłaszają o rzymskim papieżu, albo traktować Juliana Apostatę tak niewyrozumiale, jak oni traktują Towarzystwo Jezusowe. Brak im bezstronności – dla nich szale historii zawsze przechylają się na jedną stronę, a widać to szczególnie wyraźnie we wspomnianej już kwestii ewolucji i przemiany. Wszystko widzą w szarych barwach, jakby o zmierzchu, bo im się wydaje, że nadszedł zmierzch bogów. Ja natomiast śmiem twierdzić, że ten domniemany zmierzch bogów na pewno nie jest dziennym światłem ludzkości.

Twierdząc, że w dziennym świetle przynajmniej dwa zjawiska przedstawiają się zupełnie niezwykle i wyjątkowo; i że tylko fałszywy zmierzch wymyślonego okresu przejściowego może zatrzeć istniejące między nimi różnice. Pierwszym z nich jest stworzenie zwane człowiekiem, a drugim – człowiek zwany Chrystusem. Dlatego też podzieliłem tę książkę na dwie części: pierwsza jest szkicem na temat największej przygody ludzkości w stanie pogaństwa, a druga – podsumowaniem prawdziwej

odmiany, jaką dało ludzkości chrześcijaństwo. Oba wątki wymagają pewnej metody – metody niełatwej do zastosowania, a jeszcze trudniejszej do zdefiniowania i obrony.

Chcąc w jedyny zdrowy, dopuszczalny sposób uderzyć w ton bezstronności, trzeba poruszyć strunę zaskoczenia. Chodzi o to, że w pewnym sensie widzimy coś jasno wtedy, gdy widzimy to po raz pierwszy. Nawiasem mówiąc, dlatego właśnie dzieci tak łatwo przyjmują dogmaty Kościoła. Kościół jednak, jako bardzo praktyczny ośrodek działania i walki, jest z konieczności przeznaczony także dla dorosłych, a nie tylko dla dzieci. Musi być w nim, ze względów praktycznych, duża dawka tradycji, swojskości, a nawet rutyny. I dopóki podstawowe sprawy Kościoła są przeżywane głęboko, taka sytuacja jest, być może, najzdrowsza. Gdy jednak sprawy zasadnicze poddawane są, tak jak dzisiaj, w wątpliwość, trzeba starać się odzyskać szczerłość i zadziwienie dzieci; ich nieskażony realizm i obiektywizm niewinności. A w razie niepowodzenia trzeba przynajmniej spróbować rozproszyć obłok swojskości i zobaczyć całe zjawisko w nowym świetle, choćby miało przez to wyglądać jak dziwoląg. Rzeczy znane mogą takimi pozostać, dopóki wzbudzają przywiązanie, ale lepiej, żeby stały się obce, gdy zaczynają budzić pogardę. Bo bez względu na wyznawane poglądy, pogarda wobec tak wielkich spraw musi być błędem. Owszem, musi być wręcz złudzeniem. Należy się zatem odwołać do najbardziej szalonej i śmiałej wyobraźni – tej wyobraźni, która umożliwia widzenie świata takim, jakim on jest.

Przybliżyć sens tej metody można jedynie na przykładzie czegoś – wszystko jedno czego – uważanego za piękne czy wręcz cudowne. George Wyndham powiedział mi kiedyś, że widział jeden z pierwszych samolotów wzbijających się do pierwszego lotu i że było to coś cudownego, ale nie tak cudownego jak pierwszy koń, który pozwolił się dosiąść człowiekowi. Ktoś inny powiedział, że piękny człowiek na pięknym koniu to najszlachetniejszy obiekt na świecie. Otóż wszystko jest w porządku, dopóki ludzie odbierają tę prawdę we właściwy sposób. Pierwszym i najlepszym sposobem na to, by ją docenić, jest urodzić się wśród ludzi o tradycyjnie dobrym stosunku do zwierząt – ludzi, których łączą z końmi właściwe relacje. Chłopiec pamiętający ojca, który jeździł na koniu – jeździł na nim dobrze i dobrze go traktował – będzie wiedział, że taka relacja może przynosić zadowolenie, i tym się zadowoli. Będzie oburzony złym traktowaniem koni, ponieważ wie, jak powinno się je traktować; jeździec na koniu nie będzie jednak dla niego niczym niezwykłym. Chłopiec ten nie posłucha wielkiego współczesnego filozofa wyjaśniającego mu, że to koń powinien posiadać człowieka. Nie podda się też pesymistycznej wizji Swifta i nie uzna, że ludzie zasługują na pogardę jak małpy, a konie – na cześć jak bogowie. A skoro koń i człowiek razem będą w jego myślach tworzyć obraz bardzo ludzki i cywilizowany, nie sprawi mu trudności podniesienie konia razem z człowiekiem do rangi eposu albo symbolu – na przykład w postaci św. Jerzego wśród obłoków. Nie uzna baśni o skrzydlatym ko-

niu za całkiem sprzeczną z naturą i rozumie, dlaczego Ariosto sadzał w wysokim siodle tak wielu chrześcijańskich bohaterów i kazał im cwałować po niebie. W rzeczywistości bowiem koń został szaleńczo wywyższony razem z człowiekiem przez język, który nadał rycerzom miano „kawalerów”. To końskie imię pochodzi z tak wzniosłej epoki w historii człowieka, że można by stwierdzić, iż najlepszym komplementem dla rycerskiego człowieka jest nazywanie go koniem.

Jeśli jednak człowiek osiągnął stan, w którym nie umie już odczuwać tego rodzaju zadziwienia, jego leczenie trzeba zacząć z zupełnie innej strony. Przypuśćmy, że popadł on w stan otępienia, w którym jeździec na koniu nie znaczy dla niego więcej niż ktoś siedzący na krześle. Cud, o którym mówił Wyndham, piękno, które nadawało jeźdźcowi pozór konnego posągu, nawet znaczenie słowa kawaler – wszystko to pachnie mu konwencją i nudą. Być może konie były tylko przemijającą modą; może właśnie wyszły z mody; może mówiono o nich za dużo albo w niewłaściwy sposób; może trudno mu było potem zajmować się końmi bez okropnego uczucia, że został zrobiony w konia. W każdym razie w tym stanie koń nie znaczy dla niego więcej niż konik na biegunach. Szarża jego dziadka pod Balakławą⁵ zdaje mu się równie zakurzona i nudna, co rodzinny album. Nie znaczy to jednak, że widzi on rodzinny album

⁵ Miejsce tragicznej bitwy w czasie wojny krymskiej; szarża lekkiej kawalerii angielskiej na przeważające siły Rosjan skończyła się masakrą całej brygady.

we właściwym świetle, tylko że nic nie widzi przez kurz. Skoro jednak osiągnął ten stopień ślepoty, nie dostrzeże konia ani jeźdźca, dopóki nie zobaczy w nich czegoś zupełnie nieznanego i prawie nie z tej ziemi.

Z jakiegoś ciemnego lasu pod niebem pradawnego poranka musi wychynąć ku nam, tanecznym, choć chwiejnym krokiem, jedno z najdziwniejszych prehistorycznych stworzeń. Musi pojawić się przed nami po raz pierwszy ta dziwnie mała głowa osadzona na szyi nie tylko dłuższej, ale i grubszej niż ona sama, jak pysk maskarona na zakończeniu rynny; jedno nieproporcjonalne pasmo włosów zdobiące grzbiet tejże szyi jak rosnąca w złym miejscu broda; nogi jak solidne rogowe pałki, tak różne od nóg pozostałego bydła; aż wreszcie końskie, a nie diabelskie kopyto wzbudzi w nas prawdziwy lęk. I nie będzie dziwactwem językowym nazwanie tego stworzenia unikatowym monstrum, bo w pewnym sensie monstrum oznacza coś unikatowego, a ono naprawdę jest unikatowe. Przede wszystkim jednak, gdy zobaczymy je tak, jak widział je pierwszy człowiek, odzyskamy pewne wyobrażenie o tym, czym była pierwsza jazda na koniu. Nawet jeśli w tej wizji koń wyda się nam brzydki, pozostawi po sobie niemałe wrażenie, podobnie jak ów dwunogi karzeł, który zdołał wspiąć się na jego grzbiet. W ten sposób, dłuższą i bardziej okrężną drogą, powrócimy do cudu człowieka na koniu, a cud ten, o ile to możliwe, wyda nam się jeszcze bardziej cudowny. Odzyskamy na chwilę wizję św. Jerzego – tym bardziej chwalebna, że zobaczymy go nie na koniu, ale niejako na smoku.

Przykład ten, niebędący niczym więcej jak tylko przykładem, wymaga dopowiedzenia, że nie uważam koszmaru widzianego przez pierwszego człowieka z lasu za prawdziwszy ani bardziej cudowny od zwykłej klaczy ze stajni, oglądanej przez cywilizowaną osobę, umiejącą docenić to, co zwykłe. Ogólnie rzecz biorąc, za lepszą z tych dwóch skrajności uważam tradycyjne podejście do prawdy. Twierdzę jednak, że prawdę dostrzega się w skrajnościach, gubi natomiast w tym, co pośrednie: w towarzyszącym tradycji stanie znużenia i zapomnienia. Innymi słowy, sądzę, że lepiej widzieć w koniu monstrum niż powolniejszy substytut samochodu. Jeśli żywi się przekonanie, że koń jest czymś przestarzałym, dobrze byłoby się go przestraszyć jako nieznaney nowości.

Tak samo jak z monstrum zwanym koniem mają się rzeczy z monstrum zwanym człowiekiem. Oczywiście, moim zdaniem najlepiej byłoby, gdyby od zawsze postrzegano człowieka tak, jak postrzega go moja filozofia. Każdy, kto wyznaje chrześcijański, katolicki obraz natury ludzkiej, przekonuje się, że jest to uniwersalna, a zatem zdrowa perspektywa, i tym się zadowala. Kto jednak utracił zdrową perspektywę, może ją odzyskać tylko dzięki perspektywie szaleńca, która traktuje człowieka jak dziwne zwierzę i pozwala się przekonać, że jest on naprawdę bardzo dziwnym zwierzęciem. Ale tak samo jak wizja prehistorycznego dziwoląga zamiast osłabić podziw dla panowania człowieka nad koniem, jeszcze go wzmocniła, tak prawdziwie bezstronny namysł nad przedziwną karierą człowieka

wzmocni, zamiast osłabić, starożytną wiarę w mroczne zamyśły Boga. Innymi słowy, tylko wtedy, gdy dostrzegamy niezwykłość czworonoga, możemy wychwalać dosiadającego go człowieka; i tylko wtedy, gdy dostrzegamy niezwykłość dwunoga, możemy wychwalać Opatrzność, która go stworzyła. Krótko mówiąc, wprowadzenie to ma za zadanie dowieść, że gdy próbujemy postrzegać człowieka jako zwierzę, przekonujemy się, że nie jest on zwierzęciem. Gdy staramy się przedstawić go jako coś w rodzaju konia chodzącego na dwóch nogach, dociera do nas nagle, że jest on czymś równie cudownym co skrzydlaty koń wzbijający się pod obłoki. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu; wszystkie drogi, nie wyłączając tej przez Krainę Czarów i Świat-do-góry-nogami, prowadzą z powrotem do głównej cywilizowanej filozofii. Choć może lepiej byłoby nigdy nie odchodzić z kraju rozsądnej tradycji, gdzie ludzie z lekkością dosiadają koni i są wielkimi myśliwymi w oczach Pana. W szczególnym przypadku, jakim jest chrześcijaństwo, trzeba przeciwstawić się ciężarowi znużenia w taki sam sposób. Tu ożywienie faktów wydaje się prawie niemożliwe, bo są one dobrze znane, a w upadłych ludziach bardzo często znajomość rzeczy budzi uczucie znużenia. Jestem przekonany, że gdybyśmy zdołali słowo w słowo opowiedzieć nadprzyrodzoną historię Chrystusa jako historię chińskiego bohatera, nazywając go Synem Niebios zamiast Synem Bożym i kreśląc Jego aureolę złotą nitką na chińskim jedwabiu albo złotą farbą na chińskiej porcelanie zamiast płatkami złota na naszych własnych,

katolickich obrazach, wszyscy jednogłośnie potwierdziliby duchową czystość tej historii. Nie słyszelibyśmy wówczas nic o niesprawiedliwości zbawczej męki ani o nielogiczności zadośćuczynienia, o zabobonnym wyolbrzymianiu ciężaru grzechu ani o niemożliwie zuchwałej ingerencji w prawa natury. Podziwialibyśmy natomiast szlachetność chińskiej koncepcji bóstwa, które spadło z nieba, aby walczyć ze smokami i wybawić niegodziwców od zguby, którą zgotowały im własna wina i głupota. Podziwialibyśmy subtelność chińskiej wizji świata, w której każda ludzka niedoskonałość naprawdę woła o pomstę do nieba. Podziwialibyśmy ezoteryczną i wzniosłą mądrość Chińczyków, uznających istnienie wyższych praw kosmicznych niż te, które znamy. Przecież każdy hinduski magik, który przemówi do nas w tym tonie, zyskuje naszą wiarę. Gdyby chrześcijaństwo było jedynie nową modą ze Wschodu, nie zarzucano by mu, że jest przestarzałą religią ze Wschodu. Nie zamierzam w tej książce iść za domniemanym przykładem św. Franciszka Ksawerego i przedstawiać Dwunastu Apostołów jako Dwunastu Mandarynów, choć z zupełnie inną intencją – nie żeby wyglądali jak tubylcy, ale jak cudzoziemcy. Nie podejmuję się czegoś, co według mnie byłoby zupełnie usprawiedliwionym żartem, a mianowicie opowiedzenia całej Ewangelii i całej historii Kościoła w scenerii pagód i chińskich warkoczyków. Nie będę ze złośliwym zadowoleniem patrzył, jak owa pogańska opowieść zyskuje sobie poklask w tych samych kręgach, w których jest potępiana jako opowieść chrześcijańska. Zamierzam jednak,

gdzie się tylko da, wywoływać takie właśnie wrażenie nowości i zadziwienia; dlatego styl tej rozprawy, mimo że traktuje ona o tak poważnym temacie, może być niekiedy świadomie groteskowy i dziwaczny. Pragnę z całego serca pomóc czytelnikowi zobaczyć chrześcijaństwo od zewnątrz, czyli zobaczyć je w całości, na tle innych historycznych zjawisk; podobnie jak pragnę, by zobaczył ludzkość w całości, na tle wszystkich innych zjawisk natury. Twierdzą bowiem, że oba te zjawiska oglądane w ten sposób odcinają się od tła w sposób nadprzyrodzony. Nie zlewają się z resztą jak kolory impresjonizmu, ale raczej odcinają od niej jak barwy na tarczy herbowej – tak wyraźnie, jak biały krzyż na czerwonym polu albo czarny lew na polu ze złota. Tak właśnie odcina się Czerwona Glina na tle zielonej natury i Biały Chrystus na tle czerwonej gliny swojego plemienia.

Chcąc jednak jasno zobaczyć te zjawiska, trzeba zobaczyć je w całości. Trzeba się przyjrzeć nie tylko ich powstaniu, ale i rozwojowi, bo najbardziej niewiarygodny w całej historii jest właśnie dalszy bieg spraw, które miały taki początek. Każdy, kto puści wodze fantazji, może sobie wyobrazić inny rozwój wypadków albo inny rezultat zachodzących zmian. Każdy, kto rozważy, co mogłoby się stać, może sobie wymyślić jakąś ewolucyjną równowagę, ale każdy, kto widzi, co się naprawdę stało, ma przed sobą wyjątek i cud natury. Jeśli człowiek rzeczywiście w pewnym momencie rozwoju był tylko zwierzęciem, można sobie wyobrazić dowolne zwierzę robiące podobną karierę. Można stworzyć zabawną bajkę o słoniach wznoszących sło-

niowe budowle, gdzie baszty i wieże przypominają trąby i kły, a miasta to prawdziwe kolosy. Można ułożyć miłą opowieść o krowie, która wynalazła ubranie i chodziła w czterech butach i dwóch parach spodni. Można sobie wyobrazić Supermałpę wspanialszą od Supermana – rękami krojącą pieczeń i malującą obrazy, a nogami mieszającą w garnku i heblującą deski. Jeśli jednak zastanowić się nad tym, co rzeczywiście się stało, nieuchronnie dojdzie się do wniosku, że człowiek zdystansował wszystkie inne stworzenia o całe lata świetlne i to z prędkością błyskawicy. Podobnie można, jeśli się chce, wyobrazić sobie Kościół wśród zbiorowiska manichejskich i mitraistycznych przesądów, kłębujących się i uśmiercających nawzajem u kresu Cesarstwa; można, jeśli się chce, wyobrazić sobie Kościół pokonany i zastąpiony przez inne przypadkowe wyznanie. Tym większym zaskoczeniem (a może i zagadką) będzie zobaczyć go po upływie dwóch tysięcy lat, jak pędzi przez wieki niczym uskrzydłona błyskawica myśli i niegasnącego entuzjazmu – zjawisko niemające równych ani podobnych sobie, a mimo podszłego wieku wciąż tak samo nowe.

